(Nro 109.)

# ROZMAITOSCI.

We Czwartek Nro. 55. 13. Maia 1819.

## Idel i Seran,

czyli:

## Łódź na Niagarze. *)

Okropnie ryczy Niagara
Gdy się międey skały wciska,
Z głębi czarna bucha para,
Aż do nieba piana pryska,
Wrą odmęty, a o skały
Wściekłym pędem biią wały.

Raz się rzuca w dół głęboki,
To się znowu w górę zżyma,
Twarde rozpiera opoki,
Tu z nich żadna nie wytrzyma.
Nurt ryczałtem szturm przypuszcza,
Aż rozległa wzdycha puszcza.

Wrą, łoskoczą, szumią, ięczą,
Rozhukanych wód bałwany,
Z mieysc wyparte głazy brzęczą.
Ryk się wzmaga niesłychany.
Rzekłbyś na ten huk ponury,
Że iuż przyszedł kres natury!

Wiatrów lotem pędzą fale
Na nich słaba łódź się chwieie,
W łodce Seran tłumi żale,
Już mu znikły i nadzieie;
Przypadkiem w męty rzucony,
Widzi zgon swóy niecofniony.

Z każdym wałem śmierć przyspiesza,
Gdy go w czarne wiry wtrąca,
Lub na skały gdy zawiesza,
Chyżą łódkę woda wrząca;
Ustawicznie silnym razem,
Tłucze w pędzię twardym głazem.

Zrazu chwycił wiosło swoie,
Chcąc z okropnym walczyć szturmem,
Ale próżne były znoie,
Sroga fala leci hurmem;
Wtedy nędzny wiosło kinie,
Do wieczności śmiało płynie.

W tem z urwiska ostréy skały,
Goniąc zwierzynę od rana,
Rzucił nagle wzrok na wały,
Idel towarzysz Serana;
Żal niezmierny serce ściska,
A na licach łza połyska.

Ból się szerzy w czułem łonie,
Ledwie cios ten znieść wydoła:
Wszak to Seran! Seran tonie!
Tak załośnym głosem woła;
Albo w nurtach z lubym zginę,
Albo na brzeg z nim wypłynę!

Raptem skoczy w wiry szumne,
Lecz daremnie sił dobywa,
Precz go niosą fale dumne,
Gdzie chce woda tam porywa;
Raz go całkiem w głębi nurzy,
Raz pokaże posród burży.

Ciężko było dopiąć łodźi,
Lecz tę miłość widząc tkliwę,
Nagle do niey go przywodzi,
Jakieś Bóstwo litościwe.
Stanął wreście krwią oblany,
Na czółn pędem skołatany.

„O Seranie, przyiacielu!
Ten w żałosci odpowiada:
„Któż ci kazał przyiść Idelu
Gdzie zniszczenie straszne włada!
Patrż, iak nowey rad zdobyczy,
Srogim gwałtem żywioł ryczy.“

Wtem się ścisną, łódka stęka,
O Idela Seran trwoży,
Ten zaś o niego się lęka. —
A w tém rzeka co się sroży,
Spada wreście z wysokości,
I iuż płynie w spokoyności.

Postrach duszę iuż nie tłoczy,
Już nie warczą skał ogromy,
W cichym kręcie nurt się toczy,
I wyrzuca mnogie łomy;
Lekkim szmerem głaszcze uszy,
Fale, chyba wiatr poruszy.

*) Rękopism nadesłany.

Lecz na brzegu, na zieleni,
Leżą martwi towarzysze,
Leżą uściskiem spoieni,
Wieczne dała śmierć zacisze;
Polegli oba na łonie,
Nierozdzielni i po zgonie.

J.. Pa..

## Historyia wygnańców Francuzkich w roku 1800.

*(Ciąg dalszy.)*

Anjuan, iest to wyspa nader powabna i żyzna, atoli iey klima nie służy Europeyczykom. W dwoch miastach odległych od siebie tylko o milę Niemiecką, lecz na szczęscie łancuchem gór przedzielonych, maią siedzibę swoią dway Królowie, którzy ustawicznie toczą z sobą woyny, chociaż liczba ich poddanych brónatnego koloru wynosi ledwie 4 do 5000 dusz, i to samych muzułmanów; ich żony maią to za naywiększą piękność, gdy piersi ich wiszą iak naywolniey i naydłużey, przeto też ieszcze dziewczętami będąc, wierzchnią część gorsu mocno sznuruią, i piersi codziennie z góry ku dołowi naciskaią.

Wygnanców nie puszczano do miasta, musieli spać w polu pod otwartą szopą i na gołey ziemi. W kilka dni kupili sobie wprawdzie łóżka, atoli nie mogli zapobiedz szkodliwemu wpływowi odmiany powietrza, gdy po suchey dzienney spiekocie następowała noc chłodna i wilgotna. Po kilkakrotnych skargach pozwolono im budować sobie porządne chatki, i dostarczono im nawet drzewa do tego. Lefrance iako budowniczy czynił przytem pożytecze usługi. Z natężoną pilnością pracowali około przyszłego pomieszkania, i tak daleko postąpili w robocie, że iuż kilku sypiało w chatach, gdy w tym straszna wybuchła zaraza, na którę nie wyszło dni 14 umarło z nich 21; 8 innych z przestrachu uciekło do brata Królewskiego, który właśnie płynął na statku do Komoryi i z sobą ich zabrał. Zostało więc tylko 4 wygnanców i 3 Negrów, których zgromadzenie osadnicze w Isle de France dodać kazało tym 33 dedartowanym natenczas; gdy ich iuż z Sechellów wywieziono, byli oni w istocie bardzo usłużnemi, zwłaszcza ieden z nich, Fernando, który więcey był ich przyiacielem iak sługą, wyszczególniał się od wielu ludzi innych kolorów rozumem i dobrocią serca. Położenie tych czterech nieszczęśliwych było godnem politowania, dóm po połowie zbudowany bez drzwi i okień, nie chronił ich, ani przed upałami ani przed wilgocią. Sami zaś wynędznieli przez długie cierpienia zaledwie śmierci pouchodzili; o kilka kroków od ich pomieszkania leżały zwłoki 21 towarzyszów ich nieszczęścia zaledwie ziemią pokrzte i stały się pastwą ptaków drapieżnych. Lefranc zebrał ostatnie siły swoie i powlekł się, na skargę do Króla, nędzna postać iego wzrnszyła Araba, dano nakoniec iemu i towarzyszóm iego pomieszkanie w mieście i wszelką pomoc. Król sam odwiedzał ich często dla przekonania się, czyli punktualnie rozkazy iego wypełniano. Nie mogąc iednak w tym klimacie zupełnie przyiść do siebie, prosili Króla, ażeby ich do Mosanbique odesłał. Zdawał się bydź powtórnie wzruszonym i zezwolił na ich prośbę, lecz pierwey musieli podpisać wexel na 1500 piastrów które sobie wypłacić kazał w Isle de France za ich utrzymywanie. Odmówił im także żywności, aż do Mossambique, lecz dał im list do brata swoiego będącego w Komoryi, który miał ich z tamtąd wysłać daley. Szczęście zdarzyło, że ieden z mieszkańców nazwiskiem Bambejak powziął ku uim przywiązaanie i przestrzegł ich, ażeby do Komoryi nie płynęli, ponieważ tam smierć na nich czeka, i doradził im, ażeby raczey, gdy ze statkiem wypłyną na morze, przymusili czarnych przewodników swoich popłynąć do Mosambique; tym celem opatrzył ich w broń. Ulitowawszy się nad nimi ieden z dowodzców, odczytał im list Królewski pisany do brata i przekonali się w istocie, że list ten był Uryiaszowski, w którym radził bratu swoiemu pozbyć się iak nayrychley Francuzów, którzy iuż nic więcey nie mieli. Obadwa Arabowie przyiaciele ich, dali im inne listy i nieco towarów aby ie wymienili na artykuły żywności któremi ich Król bardzo skąpo obdarzył. Statek nie był ieszcze dostatecznie osadzonym, lecz ów wyśmienity Król umiał sobie poradzić; ku wieczorowi pozamykać kazał wszystkie bramy, i gdy negrowie powracali do domu z pola od roboty, zabrał ich tyle, ile mu potrzeba było, nie pytaiąc do kogoby należeli.

Tak więc z tymi trzema czarnymi towarzyszami swoimi puscili się wygnancy na morze. Po 5 dniach przymuszeni byli dla wiatrów zarzucić kotwicę w zatocę wyspy Komeryiskiey gdzie bawiąc 36 dni, wysłali trzech Negrów z osady okrętowey dla

dostania się w poprzek wyspy, do Bakara brata Króla Anjuańskiego oraz wręczenia mu listów przyiaciół swoich. Po kilku dniach powrócili oni z 8 innymi czarnymi, których Bakar wysłał, dla pomnożenia liczby robiących wiosłami. Lecz gdy puscili się na morze, nie umieli ci nędzni maytkowie kierować okrętem, a do tego ieszcze, nastąpiła burza która poplątawszy liny, okręt wywróciła, tak, że spodni tram okrętu zrównał się z wodą. Po długim natężeniu udało się Saunoisowi i trzem czarnym towarzyszom Francuzów, tudzież innym 22 z osady wydrapać się na wierzch. Dwóch innych wygnańców Joly i Chretien pochłonęły bałwany, iest to rzeczą godną zastanowienia, że Chretien ieden z naywinnieyszych, wpadł w szaleństwo iuż od 14 dni, i dopiero w ostatnich straszliwych chwilach przyszedł do zmysłów. Kapitan utonał także z dwoma Negrami. Lefrance walczył tosamo z bałwanami, które go iuż daleko uniesły i dopiero ieden z nich biegły pływacz uratował go na prośbę Fernanda. W posród burzy siedziało tedy 27 osób na tramie okrętowym, o których głowy co chwila uderzały bałwany. Obawiaiąc się nieszczęsliwi, ażeby okręt ze wszystkiem nie zatonał, gdy weźmie cokolwiek inny kierunek, uginali się przy każdym poruszeniu okrętu w różne strony dla utrzymania go w równowadze.

Burza ucichła w prawdzie po trzech godzinach, lecz mało mieli pociechy, będąc bowiem znużeni i bez żywności, na morzu rzadko kiedy zwiedzanem, nie mogli spodziewać się ratunku. Negrowie wyli z płaczu, a przestrach zamienił ich czarne twarze w zielonkowate. Jeden Fernando został ieszcze troche przy siłach, i stoiąc utrzymywał się na tramie, chcąc zdaleka ratunku wyglądać. Minęły iuż dwie okropne godziny, a nic ieszcze nie postrzegł; — Zbliżyli się nakoniec rybacy z trzema łodziami, a na ich widok wszyscy z radości wykrzyknęli. Rybacy uyrzawszy dwóch białych między wołaiącymi o pomoc, zdziwili się okrutnie, niewidzieli bowiem ieszcze nigdy ludzi białych, oddalili się nieco, i żądali, ażeby ich w morze rzucono, inaczey nikogo uratować nie chcieli: Negrowie zaraz na to przystali, lecz Fernando dobył noża i zagroził, że przebiie tego, któryby się na iego panów i przyiacioł porwał. Wyciągnąwszy potém kamizelkę z materyi wełnianey, pokazał ią rybakom, i przyrzekł ią w nagrodę, ieżeliby niechęć swoią przezwyciężyli i białych z sobą pozabierali. Rybacy interessownością pokonani przybyli; na każdey łodzi było ich dwoch, a na każdey nie mogło się pomieścić więcey ieszcze nad dwóch i musieli przeto kilka razy wzad i w przód powracać, ażeby wszystkich ludzi z rozbitego okrętu na ląd powysadzali, od którego teraz iuż nie więcey nad 3 mile oddaleni byli ponieważ szczątki okrętu pogruchotanego pędziły bałwany zawsze ku brzegom. Negrowie osady okrętowey chcieli pierwsi do łodzi powsiadać, lecz Fernando i na to nie zezwolił, a tak rybacy musieli panów iego wziąść naypierwey, on sam zaś został się na tramie na sam ostatek. Lefranc i Saunois rozczuleni mocno tym przywiązaniem Fernanda przyrzekli mu obadwa, obdarzyć go wolnością pierwey, nim opuszczą wyspę Komorię.

Nowe nieszczęscia czekały Francuzów, uzbroieni mieszkańcy nie chcieli ich cierpieć. W tym nędznym położeniu uyrzeli Kapitana tego nieszczęsliwego okrętu; uratował sie on na bacie który do okrętu tego należał, błagali go więc o wstawienie się za nimi, iakoż udało się mu uspokoić mieszkańców wyspy, mówiąc, że Król Anjuański posełał tych białych ludzi swoiemu bratu i mścitby się, gdyby im kto iakową przykrość wyrządził. Jeszcze tegoż samego dnia odprowadziło 12 zbroynych Lefranca i Sannoisa wraz z wiernymi ich Negrami w głąb kraiu; był to pochód i długi i przykry. Saunois miał ieszcze trzewiki ale popsute, lecz Lefranc szedł boso, bałwany morskie pochłonęły ich kapelusze, koszula i para pantalonów było całem ich odzieniem, lecz ażeby głowy cokolwiek od spkiekoty słoneczney ochronić, musieli ie ponakrywać koszulami, a inne części ciała wystawić na nieprzyiemność upałów; ciało ich było ze wszystkiem okryte pęcherzami, które potym w iedną tylką ranę przemieniły się.

W okolicy prawie pustey robiono przygotowania do noclegu; zgłodniałym i znużonym wygnańcom nie dano nic do iedzenia, lecz zdaleka kazano się przypatrywać, iak ich tyrani u stołu iedli. Szczęśliwym trafem zaprosili Fernanda do uczty, a tak wierny ten Neger poddawał swoim panom tyle, ile mógł schować na stronę, było to wprawdzie za mało dla ludzi, którzy przez 24 godzin nieiedli, z rady więc Fernanda udarli kilka kawałków z pantalonów swoich, a że wyspiarze naymnieyszy kawałek płótna, z którego robią sobie torbeczki na rupiecie i orze-

)(

chy, cenią wysoce, udzieli więc za to zgłodniałym w samey rzeczy nieco patatów.

Noc przepędzić musieli w starey wielkiey chacie, leżąc posród Negrów na ziemi, myśleli oni, że poprowadzą ich do Bakara, i że ze switaniem poydą w dalszą drogę, lecz to nie nastąpiło, zostali na tym samem mieyscu przez cały dzień. Następuiącey zaś nocy gdy znowu leżeli na ziemi otoczeni Negrami, Lefranc uczuł raptem cudzą rękę na piersiach swoich, i z przestrachu zawołał: „kto iest"? — cicho! odpowiedział głos Fernanda. Na iego krzyk ocucili się inni Negrowie, i popodnosili się, lecz nie słyszawszy nic więcey, sądzili że przez sen krzyknął, i pokładli się na nowo. Fernaudo czekał aż pozasypiali, a potém oswiadszył swoiemu Panu, że podsłuchał, iż iego i Saunois o północy zamórdować maią. Obudzono natychmiast Saunois i doniesiono mu o zbliżaiącym się niebezpieczeństwie; przelazłszy tedy przez spiących, i zaśtawszy w nieiakiey odległości obudwoch Negrów swoich, umykali podczas ciemney nocy pagórkami i sciszkami usypanemi usuwaiącym się pod nogami kamieniem. Gdy nadszedł dzień a głod kroki ich ociągał, w tedy Fernando karmił ich orzechami kokosowemi i patatami, kupionemi od rozproszonych mieszkanców za kilka igieł, których miał ieszcze pewną ilość w pularesie uratowanym. Drugiego dnia spoczywali znużeni podróżni w małey dolinie pod cieniem kilku drzewek. Jeden z Negrów wydrapawszy się na pagórek, powrócił co żywo daiąc znać że się zbliża horda zbroynych ludzi; wszyscy pouciekali do pobliskiey iaskini, Fernando zaś skrywszy się za krzakiem, poznał w nich morderców, którzy wydrapali się na ten sam pagórek, z którego neger ich uyrzał, wypocząwszy tam kwadraus, zniknęli na drugą stronę. Zbiegi puscili się w dalszą podróż, lecz trzeciego dnia nie znalezli już scieszki, nogi sobie pokaleczyli, zwłaszcza Lefranc, który miał paznokcie popękane, i nie mogąc iuż daley iść, usiadł, i prosił ażeby go tak zostawili, gdyż tu chciał umierać. Rozpaczaiący Fernando usiłował po kilka kroć nieść go, lecz nadaremne były iego zapędy, ponieważ sam ze wszystkiem z sił opadł.

W tey nędzy zdybał ich Neger pełen litości, który biednemu Lefranc paznokcie poobrzynał, sandałów swoich ustąpił i chodzącego podpierał, przez co nabrał nieco sił nowych; lecz ieszcze pozostała im do przebycia, dolina nazwana rogatką słońca (*barre de soleil*) którey sami nawet kraiowcy lękaią się, tu bowiem naymnieyszy nie powiewa wietrzyk, a skoncentrowane promienie słońca przepalaią ziemie na wapno. Tu dopiero popuchły nogi Lefrancowi tak dalece, że twardy rzemień z liścia palmowego, z którego sandałki były zrobione, wrzynał się w ciało, aż się krew ze wszystkich strón sączyła. Poczciwy obcy Neger, nazbierał rzadkich w tey suchey okolicy roślin, pożuł ie, udarł kawałek płótna, którym się przepasywał i poobwiązywał nim nogi zbolałe. Tak więc przyprowadził nakoniec gości do swoiey chatki, będącey w pewnym małym miasteczku gdzie żona iego bardzo mile ich przyięła; rospostarła matę do siedzenia częstowała ryżem, bananami, orzechami kokosowemi, i trzciną cukrową, i dała poznać, że mąż iey był wprawdzie ubogim, lecz dobrego serca.

Mieszkańcy tameczni zbiegli się wieczorem około chaty; knowaiąc zamysły nieprzyiacielskie, lecz ten rozmowiwszy się żywo z niemi rozpędził ich; drugiego dnia reno wymył i zawiązał rany Lefranca, gdyż ten nie mógł iuż chodzić. Tak więc przybyli do Stolicy Komoryiskiey gdzie tak zwany Wielki Król przesiaduie; pozwolił im nietylko wypocząć aż do dnia drugiego, ale kazał ich także odwieść na własnych batach do Bakara, który atoli przyiął ich bardzo źle, ponieważ to był iego statek, który podczas burzy zatonął.

---

## Białe ząbki.

(*Rękopism nadesłany.*)

„Twe ząbki białe warte są zalety,
„Czarnymby przy nich śnieg się wydał świeży,"
Mówił Anakret do swey Filarety.
Na to ktoś rzecze z przytomney młodzieży:
„Idź, spoyrzyy w wieczór do iey toalety,
„A chęć chwalenia pewnie cię odbieży."

. . . i.

---

*Sprostowanie.* Autor poniższych poezyy; iako to: „Bytność Boga" w numerze 97/49, „*Pieśn Konstantego Steckiego*" (*recte* Stecka) w numerze 101/51; — i „*Wirginiia*" w numerze 105/53 niniejszych Rozmaitości, nazywa się właściwie Konstanty Steck nie Stecki, iak we wzmiankowanych numerach nazwanym został mylnie, z powodu swoiego podpisu, który powyższą zrządził pomyłkę.—

---